

Kowalczyk, Józef

W kręgu legalnych pism lewicowych

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 16/4, 119-134

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JÓZEF KOWALCZYK

W KRĘGU LEGALNYCH PISM LEWICOWYCH

Tak więc znów w Warszawie... Wysiadłem z pociągu, który przywiózł mnie z „wolnego miasta”, z walizką w rękę i lewym dowodem osobistym w kieszeni. Długo pitraszono go w partyjnej paszportówce, zanim przekazany został do Gdańska, gdzie chwilowo się zatrzymałem. Bez żadnych przygód przebyłem trasę podróży i po oddaniu walizki do przechowalni opuściłem dworzec, jakbym nigdy nie wyjeżdżał z Warszawy. Moje spotkanie z sekretariatem partii było wyznaczone na późniejszą godzinę, toteż na razie mogłem zasiąść w pierwszej napotkanej cukiernicy i przejrzeć bez pośpiechu gazety poranne. Ciekawiło mnie w nich wszystko, przecież wiele ostatnich lat spędziłem poza krajem. Było lato 1929 r., trwał sezon urlopowy i gdy wyszedłem z cukierni na ulicę, ujrzałem wielu bez troskich spacerowiczów. Nic szczególnego nie wskazywało na to, że już wkrótce burza wielkiego kryzysu zniweczy pozorny spokój dzielnicy śródmiejskiej.

O wyznaczonej godzinie nie zastałem nikogo w miejscu, gdzie miałem spotkać się z członkiem sekretariatu (R. Matysem). Zapomniał, czy też coś mu się przydarzyło? Jakakolwiek była tego przyczyna, znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, nie wiedząc, gdzie mógłbym się zatrzymać na noc. Dopiero okrężną drogą otrzymałem adres dawnego znajomego, za którego pośrednictwem zdobyłem w Warszawie swoje pierwsze *locum*, gdzie mogłem zamieszkać, nie meldując się. Kosztowało to trochę nerwów i czasu, ale tego ostatniego miałem na razie pod dostatkiem.

Wkrótce udało mi się nawiązać więź z kierownictwem, zerwaną w dniu przyjazdu. Pewnego dnia przechodząc Marszałkowską zetknąłem się oko w oko ze znanym mi towarzyszem Marabutem (H. Muszkatem). Dostrzegł mnie z daleka i zmierzał ku mnie z paczką gazet pod pachą. Skąd i dokąd? Nie owijałem sprawy w bawełnę, chociaż w warunkach konspiracyjnych nie było przyjęte wzajemne informowanie się o tym, co się robi. No, ale poszukiwałem kontaktu z partią, a spotkaną osobą był, mimo młodego wieku, doświadczony działacz partii komunistycznej, publicysta i redaktor. Byłem przekonany, że jest aktualnie czynny, i to — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — w pracy redakcyjnej.

Opowiedziałem mu więc o swoich perypetiach i najbliższych planach. Nosilem się z zamiarem wydawania legalnego tygodnika w Katowicach, co spotkało się już z akceptacją ze strony nowego sekretarza generalnego Leńskiego. W kraju — zauważyłem — bardzo daje się odczuć właśnie brak legalnego pisma... Marabut spojrział na mnie przez grube szkła, nie ustosunkowując się do tego, co mówiłem. Obiecał powiadomić sekretariat i umówił się ze mną na następne spotkanie.

Stawiłem się, jak to było w zwyczaju, punktualnie co do minuty. Sekretariat jest wielce zadowolony z mego przyjazdu — przeszedł do rzeczy — bo akurat tak się złożyło, że Centralna Redakcja w Warszawie uległa zdekompletowaniu. Sprawę pisma w Katowicach trzeba będzie na razie odłożyć. Kierownictwo zleca mi przede wszystkim okazanie pomocy towarzyszom z PPS Lewicy w przygotowaniu do druku legalnej jednodniówki. W związku z rozłamem w tej partii i nasilającymi się represjami policji — mówił dalej Marabut — mają z tym kłopoty. Potrzebnych materiałów dostarczy towarzysza Ewa (E. Sawicka), co też wkrótce nastąpiło. Raz jeszcze widziałem się wtedy z Marabutem dla omówienia całości dalszej pracy. Przyprowadził ze sobą jednego z członków kierownictwa krajowego, który przez pewien czas utrzymywał ze mną łączność. Po tym spotkaniu Marabut znikł z horyzontu skierowany najprawdopodobniej na inny odcinek pracy partyjnej. Dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego tak nagle zatrzymano mnie w Warszawie. Przez dość długi okres Centralna Redakcja nie dysponowała nikim więcej.

Spisując te wspomnienia sięgnąłem do wydanych w owym czasie jednodniówek PPS Lewicy, aby odnaleźć tam jakiś ślad mego współdziałania. Nie napisałem wtedy dla nich ani jednego artykułu, ograniczając się do adiustowania otrzymanych materiałów. Staralem się je jednak uzupełnić aktualnymi wstawkami i hasłami. Swoimi tytułami: „Robociarz” i „Nasz Robociarz”, jednodniówki te — w archiwum zachowało się kilka wydanych między sierpniem 1929 r. a lutym 1930 r.¹, ale faktycznie było ich chyba więcej — nawiązywały do poprzedniej nazwy organu PPS Lewicy, zawieszono go w Krakowie przez władze. Treść jednodniówek była w dużej części poświęcona sprawom związanym z kongresem partyjnym i odbudową ogniw terenowych. Cenzura niemilosiernie masakrowała wszelkie druki PPS Lewicy, traktując je na równi z wydawnictwami „komuny”. Wrażliwość na te specyficzne warunki krajowe zmalała u mnie w latach pobytu za granicą. Pamiętali jednak o nich ludzie, którzy przygotowywali jednodniówki do druku, usuwając z nich to wszystko, co mogło — ich zdaniem — narazić je na konfiskaty. W ten sposób potraktowano i niejedną z mych wstawek. Muszę wyznać, że byłem wtedy niemile zaskoczony, chociaż po na-

¹ CA KC PZPR, P. 836.

myśle przyznałem rację tym, którzy dokonali wstępnej cenzury. I tak zresztą nie udało się całkowicie zabezpieczyć jednodniówek przed konfiskatami.

Wkrótce sam zacząłem nakłaniać innych do przestrzegania maksymalnej ostrożności przy wydawaniu jakiegoś legalnego druku. W latach walki frakcyjnej w ruchu komunistycznym mało zajmowano się tą ważną dziedziną pracy, toteż po 1929 r., gdy sytuacja unormowała się, było wiele do odrobienia. Okazywanie pomocy przyjacielom z PPS Lewicy przy redagowaniu ich organu miało wprawdzie istotne znaczenie, ale nie zwalniało nas z obowiązku uruchomienia własnych pism legalnych, dzięki którym mogliśmy uzyskać dodatkowy dostęp do mas. Nasi sympatycy szybko przyzwyczajali się do nowych tytułów i dopytywali się o nie w kioskach.

Członek sekretariatu krajowego, który utrzymywał w tym czasie łączność z redakcją — był nim Josif (J. Lewartowski) — podczas każdego spotkania ze mną interesował się, kiedy wreszcie zacznie wychodzić jakaś „Adela”. Tak właśnie — „Adela”. Nie wiem, jak i kiedy powstał ten kryptonim, oznaczający w konspiracyjnym języku powoływane przez nas do życia pisma legalne. Określenie to utrzymało się przez wiele lat i przeżyło długi szereg tytułów legalnych.

Tymczasem powołanie do życia kolejnej „Adeli” nie było wcale sprawą łatwą. Aktyw partyjny, mający doświadczenie w tej dziedzinie, był przeważnie związany z kierownictwem większościowym i na razie z pewną rezerwą odnosił się do poczynań nowych władz partyjnych. Gdy nic nie wychodziło z prób podejmowanych za pośrednictwem osób trzecich, zwróciłem się osobiście do jednego z naszych „legalników”, który od lat wspomagał partię swym piórem i posiadał znajomości w kołach sympatyzującej z partią inteligencji. Był nim Mieczysław Kwiatkowski, zwany przez nas Mietkiem. Któregoś dnia, w styczniu 1930 r. zjawiłem się u niego po uprzednim zaaranżowaniu tego spotkania przez łączniczkę. Mieszkał w jednym z domów przy ul. Koszykowej, po przeciwległej stronie znanego bazaru. Poznałem wówczas i jego żonę, również działaczkę społeczną. Partyjnie wywodzili się Kwiatkowscy z b. PPS Lewicy i należeli do kręgu przyjaciół Wery Kostrzewy (M. Koszutkiej). Od razu wyłuszczyłem sprawę, z którą przyszedłem — nie mieliśmy zwyczaju tracić czasu na wstępne rozmowy. Mietek zapatrywał się dość sceptycznie na możliwość utrzymania w tym okresie jakiegoś legalnego pisma, tym bardziej w Warszawie. Gotów był jednak zająć się sprawą zalegalizowania nowego tytułu i redakcyjnego zabezpieczenia pisma, tym bardziej, że dysponował czasem, pozostając ostatnio na uboczu działalności partyjnej. Zdecydowaliśmy się na wydawanie tygodnika. Nazwa sama się nasunęła: „Tygodnik Społeczny”. Pismo miało mieć format książkowy i nie rzucającą się w oczy oprawę zewnętrzną. Byłem zgodny z Mietkiem co do tego, że ukazywanie się tygodnika będzie

miało istotne znaczenie polityczne, jeśli nawet treść utrzymana będzie w granicach jakiegoś minimalnego programu. Dbałość o tok pracy redakcyjnej miała należeć do obowiązków Mietka. Centralna Redakcja nie mogła okazać większej pomocy, mimo że działała już w dwuosobowym składzie. Wręczyłem mu niewielką sumę na pierwsze wydatki i wspólnie ustaliliśmy prowizoryczny budżet tygodnika w wysokości około tysiąca złotych miesięcznie. Obejmował on koszty rzeczowe oraz pobory dla redaktora w wysokości 150—200 złotych. Honorariów nie płaciliśmy z zasady, z wyjątkiem wypadków uzasadnionych koniecznością okazania pomocy materialnej szczególnie wartościowemu autorowi.

Godzi się przy tej okazji zaznaczyć, że wydatki naszych pism legalnych wydawanych w dwudziestoleciu międzywojennym były przeważnie pokrywane z budżetu partyjnego; wpływy z prenumeraty i sprzedaży komisowej, ze składek i sporadycznych ogłoszeń płatnych stanowiły zazwyczaj tylko część ponoszonych kosztów. Sytuacja taka wynikała, jak nie trudno się domyślić, z warunków wydawania prasy rewolucyjnej, które zmuszały nas do ustawicznej zmiany miejsca i nazwy wydawanych pism, a nie z powodu braku popytu. Jednorazowe nakłady tych wydawnictw były jak na owe czasy niemałe i wynosiły średnio 5—6 tys. egzemplarzy, a w poszczególnych wypadkach znacznie tę cyfrę przekraczały.

W marcu 1930 r. ukazał się w sprzedaży pierwszy numer „Tygodnika Społecznego”. Zewnętrznie prezentował się nader skromnie: mały format, nikły nagłówek złożony czcionką drukarską, 16 stron objętości. Treść, zgodnie z wstępnymi ustaleniami, była „ostrożna”. Podkreślano jednak szerzący się w świecie kryzys, wzrost faszyzmu i zbrojeń oraz polemizowano z prasą prostanacyjną, co dostatecznie wskazywało na kierunek nowego pisma.

Dalsze numery były już bardziej urozmaicone. Pojawiły się apele w sprawie popierania i prenumerowania pisma, a w nowym dziale pt. „Przegląd społeczny” zamieszczano wiadomości o strajkach i wroście bezrobocia w różnych krajach. Wprowadzono też rubrykę „Z życia gospodarczego” i inne. Pod niektórymi artykułami widniały podpisy: K. Miecz., ej., Br., not., nit., K. Michałowski itd. Trudno dzisiaj silić się na rozszyfrowanie tych skrótów i pseudonimów. Pierwszy i ostatni należały zapewne do M. Kwiatkowskiego, reszta nie nasuwa mi już teraz żadnych skojarzeń.

W każdym prawie numerze redakcja podejmowała polemikę z różnymi dziennikami, ustosunkowując się do ich wypowiedzi na tematy wewnętrzne lub prostując tendencyjne wiadomości, np. o ZSRR. Z zamieszczonego w piśmie tekstu dowiedział się czytelnik o dotkliwym pobiciu przez wrogą bojówkę posła komunistycznego Pawła Rosiaka podczas wiecu poselskiego w Pabianicach i o opieczętowaniu przez policję lewicowej spółdzielni wydawniczej „Książka”. *Stara pieśń na nową*

nutę — w taki to nagłówek zaopatrzone artykułik informujący o objęciu w marcu rządów przez płk. W. Sławka, po ustąpieniu K. Bartla.

Z biegiem czasu uległa poprawie szata zewnętrzna tygodnika. Do współpracy zaangażowano grafika, bo numer piąty z 6 kwietnia posiadał nową, rysunkową winiętę tytułową, między artykułami pojawiły się przerywniki, a numerację stron rozwiązano lepiej graficznie. Numer ten nie ujrzał jednak światła dziennego bądź też dotarł do odbiorców w znikomej ilości egzemplarzy. Z zawiadomienia w numerze szóstym wynikało, że uległ on konfiskacie za zamieszczenie m.in. wspomnianego artykułu o nowym rządzie sanacyjnym. Redakcja pisała: „Brak czasu i trudności finansowe nie pozwoliły nam wydać w tygodniu ubiegłym drugiego numeru, za co niniejszym czytelników przepraszamy”. Numer szósty zamieścił powtórnie tę część materiału z poprzedniego numeru, którą ominął ołówek cenzora. Stanowiło to *novum* w naszej praktyce, ponieważ zawsze staraliśmy się o wydanie drugiego nakładu po konfiskacie.

Z kolei ten sam los spotkał szósty numer „Tygodnika Społecznego”. W numerze siódmym, gdzie można było znaleźć o tym wiadomość, redakcja zwracała się do czytelników z wezwaniem do nadsyłania korespondencji, zbierania na fundusz prasowy i — uwaga! — „tworzenia kół prenumeratorów i czytelników”. Takich wezwań nie zamieszczaliśmy już wtedy w pismach legalnych, ponieważ zdawaliśmy sobie sprawę, że działają one szczególnie drażniąco na władze i dlatego nie rokują pismu dłuższego żywota. W wypadku „Tygodnika Społecznego” trwał on jeszcze kilka tygodni. Ukazały się trzy kolejne numery, z których dziesiąty, z datą 11 maja 1930 r., był numerem ostatnim. Dwie jego strony, zawierające wiersz Majakowskiego w tłumaczeniu Władysława Broniewskiego pt. *Korona i czapka*, zostały w całości skreślone przez cenzora. Numer zawierał też wiadomość o śmierci Majakowskiego oraz szereg notek, w tym także notatkę o przebiegu obchodu pierwszomajowego. „Nadsyłajcie korespondencje z waszych środowisk pracy”, „Urządzajcie zbiórki na fundusz prasowy” — wołały wstawki między tekstami. Ale wszystko to na próżno. Numer jedenasty „Tygodnika Społecznego” już się nie ukazał, jak poświadczają zbiory archiwalne².

W czasie pobytu w Grańsku w drugiej połowie kwietnia, gdzie w tym czasie rezydował przedstawiciel Biura Politycznego G. Henrykowski (S. Amsterdam), rozmawiałem z nim na temat „Tygodnika” i nie byłem wcale zdziwiony, że aktualnie wychodząca „Adela” nie budziła w nim entuzjazmu. „Starzy” w Berlinie również nie byli nią zachwyceni i doradzali — jak poinformował mnie Henrykowski — zwiększyć format pisma i bardziej nasycić treść wiadomościami z terenu. Podobne rady bardzo mnie wtedy denerwowały. Zdawaliśmy sobie sprawę ze wszyst-

² Tamże, P. 50687.

kich ułomności „Adeli”, ale widzieliśmy też przeszkody stwarzane przez istniejące w kraju warunki. Może następna „Adela” będzie lepsza — powiedziałem Henrykowskiemu.

Po napisaniu kilku odezw dla kraju i artykułów do „Internationale Presse Korrespondenz”, o co mnie prosił Henryk, powróciłem do Warszawy. Czekano tu już na mnie wiele pilnych zajęć dziennikarskich i organizacyjnych w związku z zaostrzającymi się konfliktami społecznymi i politycznymi.

Weszło w zwyczaj, że Centralna Redakcja odpowiadała za centralny organ KPP, nielegalny „Czerwony Sztandar”, reagowała odezwami — niekiedy codziennie — na najważniejsze wypadki, patronowała ukazywaniu się jakiegoś pisma legalnego, a poza tym sprawowała nadzór nad innymi nielegalnymi wydawnictwami. W latach mej pracy w Centralnej Redakcji dotyczył on przede wszystkim „Głosu Robotnicy”, „Czerwonej Pomocy” oraz — zdaje się — młodzieżowego „Towarzysza”. Inne pisma nielegalne, jak „Koszary” czy wiejska „Gromada”, ukazywały się zwykle na odpowiedzialność danego wydziału oraz członka sekretariatu, który zajmował się danym wydziałem. Wydział rolny miał w różnych latach własną komórkę redakcyjną i udzielał pomocy wydawniczej takim organizacjom, jak np. Zjednoczenie Lewicy Chłopskiej „Samopomoc”, oraz inicjował wydawanie legalnych pism lewicowych przeznaczonych dla chłopów. Znikały one pod ciosami cenzury, by po pewnym czasie znów się pojawić pod zmienionym tytułem, często w innej miejscowości, podobnie jak ogólnopolityczne pisma lewicowe.

Z biegiem lat skład Centralnej Redakcji został uzupełniony. W 1930 r. z polecenia władz partyjnych włączył się do pracy S. Wierbłowski, a niedługo potem H. Minc, aresztowano jednak w tym czasie poprzedniego jej członka J. Majskiego. W 1932 r. sekretariat krajowy skierował jeszcze do pracy redakcyjnej b. działacza PPS Lewicy L. Jankowskiego, ale po kilku tygodniach odwołano go od nas. Działaliśmy więc nadal w trzyosobowym składzie z tym, że Hilary pracował zawodowo jako ekonomista w Głównym Urzędzie Statystycznym. Odwiedziłem go tam raz czy dwa, aby uzgodnić jakieś pilne sprawy redakcyjne. Rozporządzaliśmy także kilkoma łączniczkami i stałym pomocnikiem. Nasze kontakty z aktywnym pisarskim uległy z biegiem czasu rozszerzeniu. Mogliśmy liczyć na współpracę takich osób, jak W. Broniewski, Z. Oskierko (Sławek), St. R. Stande, R. Jabłonowski, M. Kwiatkowski i inni. W różnych latach byli oni czynni w zespołach redakcyjnych rozmaitych pism legalnie wydawanych.

Redakcja nie posiadała stałego lokalu i zbierała się w trójkę raz w tygodniu lub rzadziej w mieszkaniu któregoś z sympatyków ruchu komunistycznego lub „czystego” członka partii, mało zaangażowanego w pracy konspiracyjnej. Wynajdywanie takich pomieszczeń należało w zasadzie do obowiązków łączniczek. Ze współpracownikami spotykali się

członkowie naszego gremium oddzielnie w różnych mieszkaniach, rzadziej w jakiejś cukierni. Nie było to bezpieczne, dlatego praktykowaliśmy to coraz rzadziej, w miarę, jak nasilały się represje. Chyba tego rodzaju zabiegom zawdzięczała redakcja, iż w ciągu kilku lat pracy w tym samym składzie osobowym nie doszło do jej „nakrycia” przez defensywę. Co prawda kilkakrotnie wypłoszono nas z jakichś lokali, które, jak się zdawało, były obstawione przez szpicli. Nieraz czułem się niepewnie, w związku z czym przenosiłem się do innego mieszkania i unikałem określonych ulic. Bezpośrednio jednak redakcja nie zetknęła się w tych latach ze strażnikami „ładu i porządku”, chociaż nie brak było aresztowań w aparacie centralnym, a nawet wśród osób współpracujących z redakcją.

Wkrótce po powrocie z Gdańska w maju 1930 r. zostałem na mocy decyzji Biura Politycznego włączony w skład prowizorycznego sekretariatu krajowego powołanego w związku z mającym się wnet odbyć V zjazdem KPP. Weszli doń: Wrzos (S. Huberman) jako kierownik oraz Zdzych (A. Lipski), Zagóra (F. Malinowski) i ja, posługujący się pseudonimami Edward i Horn. Prowizoryczność takiej instancji partyjnej, w której uczestniczyłem kilkakrotnie w latach 1930—1932, trwała zazwyczaj jeden — dwa miesiące, w tym wypadku kadencja była znacznie dłuższa. Z racji swej funkcji byłem obciążony taką ilością zajęć, że pracę sekretarza Centralnej Redakcji przekazywałem innemu członkowi, zachowując wgląd w jej sprawy bieżące już z ramienia sekretariatu partii.

Jeszcze w czasie trwania „długiej prowizorki” doszło do rozwiązania Sejmu i rozpisania nowych wyborów. W kraju rosło wzburzenie w związku ze wzmagającymi się represjami wobec legalnych stronnictw opozycyjnych i powszechnym uciskiem policyjnym, a jednocześnie kryzys gospodarczy dawał się coraz silniej we znaki najszerszym rzeszom ludzi pracy. To tu, to tam wybuchały akcje protestacyjne i ruchy strajkowe. Zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę z odpowiedzialności partii za ich przebieg i przy pomocy odezw, rad i wskazówek wspomagaliliśmy z Warszawy wysiłki aktywu terenowego. Niejednokrotnie w naszych hasłach wzywaliśmy do rozszerzenia walki, zgodnie z ówczesną taktyką „upolityczniania” akcji strajkowych. W atmosferze owych lat, zarówno spod mego pióra, jak i spod pióra innych pracowników partyjnych, wyszła niemała porcja takich rozważań i wezwań. Niezależnie jednak od owej „dziecięcej choroby lewicowości” główny ciężar organizowania odporu mas ofensywie kapitału spoczywał z początkiem lat trzydziestych na barkach komunistów i lewicowego aktywu robotniczego.

W kraju toczyła się już kampania wyborcza w niesłychanie ciężkich warunkach stworzonych dla demokratycznej opozycji przez sławetny Brześć, powszechne zastraszenie i „łamanie kości” ludziom. Po utraceniu komunistycznej listy państwowej organizacje terenowe robiły, co

mogły, aby zalegalizować lokalne listy kandydatów. Takie listy, przeważnie pod nazwą Jedności Robotniczo-Chłopskiej, udało się nam zgłosić w wielu okręgach wyborczych, za każdym razem pod innym numerem. Jak nie dopuścić do powstania na tym tle galimatiasu, w jaki sposób trafić z naszymi hasłami do wyborców? Coraz bardziej tęskniliśmy za nową „Adelą”. W różnych miastach staraliśmy się uzyskać odpowiednie zezwolenia władz, aby w razie zawieszenia pisma w jednej miejscowości można było, nie tracąc czasu, uruchomić następne wydawnictwo gdzie indziej.

Tymczasem wrócili ludzie ze zjazdu, kierownictwo partii przejął nowo wyznaczony sekretariat. Na jesieni, gdy pracowałem w Centralnej Redakcji, otrzymałem z Krakowa pocieszającą wiadomość, że udało się tam zalegalizować pismo pod nazwą „Przegląd Społeczny”. Nareszcie! Do pracy zgłosił się „Sławek”, niedawno zwolniony z więzienia, który zgodził się wyjechać do Krakowa i zająć się tam uruchomieniem pisma. Nie pamiętam już, kto zaproponował przekształcenie „Przeglądu Społecznego” w pismo codzienne, ale wniosek taki, wymagający dużych jak na nasze możliwości nakładów pieniężnych, został zaaprobowany przez kierownictwo. Witek (W. Kolski), który jako członek nowego sekretariatu krajowego opiekował się Centralną Redakcją, zaproponował mi bezpośrednią pieczę nad pismem codziennym w Krakowie. Byłem rad, że to mnie właśnie przypadło w udziale redagowanie kolejnego skrajnie lewicowego dziennika w Drugiej Rzeczypospolitej. Upłynęło już przecież ponad sześć lat od chwili, gdy władze zdławiły jego poprzedniczkę, codzienną „Trybunę Robotniczą” we Lwowie, w której również pracowałem.

Terminy były naprężone, toteż w ostatnich dniach pobytu w Warszawie nagromadziło się wiele spraw redakcyjnych. Jedna z nich szczególnie leżała mi na sercu. Chodziło o przygotowanie jednodniówki wyborczej mającej swym wyglądem przypominać popularny dziennik sanacyjny „Dobry Wieczór”. Plan przewidywał kolportaż tego nielegalnego druku na ulicach Warszawy przez naszą młodzież jako wydanie nadzwyczajne „Dobrego Wieczoru”. Długo mówiono by o tym w dzielnicach robotniczych, natrzęsając się z sanacji. Przy pomocy Maksia (M. Minkowskiego), długoletniego sekretarza komunistycznych klubów poselskich w Sejmie, którego wciągnęliśmy do współpracy przy redagowaniu wydawnictw wyborczych, jednodniówka ta, o objętości 8 stron, została szybko spreparowana. Znając obowiązkowość Centralnej Techniki partyjnej byłem przekonany, że ukaże się na czas. Stało się jednak inaczej. Gdy przy kolejnym przyjeździe z Krakowa, tuż przed wyborami, dowiadywałem się w Warszawie o losy tej wyborczej jednodniówki, Witek odpowiedział ze smętną miną, że z powodu braku funduszy technika zaniechania jej realizacji...

Krakowski „Przegląd Społeczny” przetrwał mimo szykan wybory

listopadowe, cały grudzień i doczekał się nawet kilku numerów w styczniu 1931 r. Działo się to jednak bez mego współdziałania, ponieważ wnet po wyborach opuściłem Kraków. Pisałem już kiedyś o tym piśmie, wspominając współpracę Władysława Broniewskiego³, ukazało się też o nim szersze opracowanie⁴, nie ma więc potrzeby powtarzania tutaj jego dziejów.

Doświadczenia „Przeglądu Społecznego” posłużyły nam za podstawę do powtórzenia podobnej próby w 1931 r. W kraju przebywał w owych miesiącach przedstawiciel Biura Politycznego Henrykowski, gorący zwolennik wydawania przez partię lewicowego dziennika i w rozmowach ze mną wciąż wracał do tej sprawy. Ale gdzie, w jakim mieście? Wybór padł tym razem na Lwów. Dosyć długo nie wychodziło tam żadne legalne pismo lewicowe w języku polskim, a więc warunki, jak się wydawało, były zachęcające. Henrykowski wyraził zgodę na wybór miejsca wydawania pisma, reszta należała do Centralnej Redakcji.

Za pośrednictwem miejscowych sympatyków postaraliśmy się we Lwowie o zalegalizowanie pisma codziennego pod nazwą „Wiadomości” i gdzieś w końcu października czy też z początkiem listopada 1931 r. udała się tam ekipa redakcyjna skompletowana przez Stefana (Wierbłowskiego), redaktora naczelnego nowo założonego dziennika. W drugiej połowie listopada ukazały się pierwsze numery pisma, bardzo ostrożne w treści. Skromny nagłówek zawierał podtytuł: dziennik informacyjny. Był on niedużego formatu, jak znaczna część prasy lwowskiej, a na ośmiostronicową treść numeru składały się odpowiednio dobrane informacje PAT, komentarze i artykułiki oraz korespondencje własne. Przeważał materiał informacyjny. Sam zestaw materiału posiadał jednak swą wymowę. Zrozumiały to władze, czego dowodem stały się coraz częstsze konfiskaty nawet najbardziej „niewinnych” tekstów. Byliśmy przyzwyczajeni do bezceremonialnego postępowania cenzury wobec pism lewicowych, ale to, na co sobie pozwalała ona we Lwowie, było wprost bezprzykładne.

Dla uzmysłowienia czytelnikom praktyk cenzury lwowskiej przytoczę kilka wypadków zaczerpniętych z numerów, które się zachowały w zbiorach⁵. W numerze z 27 listopada 1931 r. konfiskacie uległa w całości rubryka pt. „W świetle reflektora”. Nazajutrz skonfiskowano z kolei dział „Wiadomości z kraju”. W numerze z 12 stycznia prawie na każdej stronie bieleły się puste miejsca po konfiskatach. Na stronie 7 tego numeru nie spodobał się na przykład cenzurze artykuł *Bilans roku 1931*, który został w całości skreślony, poza samym tytułem. Na stronie 8 redakcja zwracała się już z apelem do czytelników: „Wydawnictwo »Wia-

³ J. Kowalczyk, *Ludzie i partia*, Warszawa 1964, s. 45—50.

⁴ B. Wróblewska, *Z dziejów polskiej prasy komunistycznej*, „Z doła walki” 1961, nr 3.

⁵ CA KC PZPR, P 438.

domości« boryka się z trudnościami finansowymi. Dzień w dzień »Wiadomości« są konfiskowane... [w tym miejscu jeden z ustępów apelu uległ konfiskacji]. Zwracamy się do ciebie — pisała dalej redakcja — abyś popularyzował i rozpowszechniał »Wiadomości« wśród swych przyjaciół i znajomych. Domagaj się od sprzedawców, aby w kioskach trzymali »Wiadomości«. Donoś nam o wadach kolportażu i o środkach dla ich usunięcia. Stań się abonentem naszego pisma i jednaj nam abonentów. Sądźmy, że spełnisz swój obowiązek”.

Aby ułatwić czytelnikom nabywanie pisma redakcja zdecydowała się obniżyć cenę poszczególnego numeru do 10 groszy, idąc za przykładem innych dzienników popularnych. Niestety jednak „Wiadomości”, przesładowane przez cenzorów, przynosiły z każdym dniem coraz mniej informacji, jakich łaknęli czytelnicy.

Mniej więcej wtedy przyjechał do Warszawy Stefan na kolejną rozmowę. Denerwowała nas sytuacja we Lwowie i na posiedzeniu Centralnej Redakcji padły głosy wypowiadające się przeciwko kontynuowaniu kosztownego wydawnictwa na tym terenie. Reprezentowałem inny pogląd. Zaniechanie przez nas wydawania pisma byłoby niezrozumiałe dla czytelników — argumentowałem. Przecież mimo ustawicznych szykan udało się dziennikowi przemycić niejedną pożyteczną informację. Gdy opowiedziałem Henrykowi o przebiegu dyskusji w Centralnej Redakcji stwierdził bez wahania, że dziennik trzeba utrzymać tak długo, jak to będzie możliwe. Już samo ukazywanie się pisma codziennego o obliczu lewicowym spełniało — jego zdaniem — pozytywną rolę w istniejących warunkach.

„Wiadomości” ukazywały się jeszcze ponad miesiąc. W zbiorach znajduje się m.in. numer z 13 lutego 1932 r. Był to kolejny 74 numer od chwili rozpoczęcia wydawania dziennika, ale najprawdopodobniej też i ostatni. Stefan wraz z pozostałymi pracownikami pisma powrócili wkrótce do swych zajęć w Warszawie. Znajdowali się wśród nich, o ile dobrze pamiętam, m.in. J. Tepicht, zmarły przed kilkoma laty profesor ekonomiki rolnej, oraz A. Szmulewicz, który poległ śmiercią żołnierza w bitwie pod Lenino.

W czasie trwania imprezy lwowskiej zaczęło wychodzić w Bydgoszczy nowe legalne pismo lewicowe, dwutygodnik o charakterze społeczno-kulturalnym pod tytułem „Ze świata”. Nie mogę już sobie przypomnieć szczegółów powstania tego dwutygodnika, ale chyba była to kontynuacja pisma o podobnym charakterze, które powstało wcześniej z inicjatywy początkującego dziennikarza warszawskiego o nazwisku Breski. Poszukując kontaktu z partią komunistyczną trafił on do St. R. Standego, poety i publicyisty, znanego w kołach literackich ze swych przekonań lewicowych. Stande objął patronat polityczny nad czasopismem w porozumieniu z Centralną Redakcją. Tak więc niespodziewanie i bez zbyt- niego trudu otrzymaliśmy nową legalną placówkę wydawniczą.

W sposobie redagowania „Ze świata” dawał się odczuć jakiś świeży powiew, coś, co odbiegało od stereotypów, do jakich przywykliśmy. Ze Standem spotykałem się wielokrotnie, omawiając z nim ogólny kierunek pisma. Nie mieliśmy zamiaru wprowadzać tu większych zmian, nasza pomoc ograniczała się głównie do dostarczania bydgoskiej „Adeli” od czasu do czasu jakiegoś artykułu oraz zastrzyku finansowego w wysokości ok. 500 złotych miesięcznie. Na treść niektórych artykułów Stande się zżymał, ironizując: znowu tra-tatata-tata. Musiałem niekiedy przyznawać mu rację, gdyż artykuły te nie zawsze były dostosowane do charakteru wydawnictwa o aspiracjach literackich.

„Ze świata” wyróżniało się staranną oprawą graficzną, formatem gazetowym i drukowane było na papierze satynowanym. Na jego kolumnach — było ich średnio sześć — pojawiały się modne w tym okresie fotomontaże, często nie podpisane. Od lat wiadomo, że ich autorem był Mieczysław Berman, zmarły niedawno znakomity grafik polski. Prócz pozycji omawiających sytuację polityczno-gospodarczą dwutygodnik zamieszczał artykuły i notatki o ważniejszych zjawiskach w dziedzinie kultury, recenzje książkowe, informacje o międzynarodowym ruchu robotniczym, polemiki i korespondencje, a czasem także wspomnienia. Starał się popularyzować budownictwo socjalistyczne w ZSRR i przeciwstawiał się propagandzie wojennej w krajach kapitalistycznych. Większe pozycje drukowane w czasopiśmie były podpisane nazwiskami lub inicjałami — zazwyczaj sfingowanymi. Przeglądając teraz numery „Ze świata” nie potrafię rozszyfrować takich pseudonimów, jak Wł. Trojecki, A. Jelski, J. Kozłowski, St. Poleski, H. San, Józef Kamiński, A. Mirowski, Hugo Obst i inne. Natomiast dobrze pamiętam, że pod pseudonimem W. Łukaszewski krył się sam Breski, występował on też zapewne w piśmie pod niejednym z wyżej wymienionych nazwisk.

Charakterystyczną cechą dwutygodnika była obfita korespondencja z czytelnikami, rozbudowana zwłaszcza w dalszych miesiącach ukazywania się czasopisma. Ludzie zwracali się do redakcji w przeróżnych sprawach, m.in. także i oceny ich prób pisarskich. Umotywowane odpowiedzi, jakie ogłaszała redakcja, stanowiły widocznie zachętę dla innych, bo oto w ostatnich miesiącach 1932 r. zajmowały już one sporo miejsca w piśmie. I tak na przykład w 16 numerze z 18 września naliczyłem 27 odpowiedzi, w 17 — 43, w 18 — 28, w 19 — 29, w 20 — 45, w 21 — 48 (2/3 kolumny!), w 22 numerze aż 70 odpowiedzi. Numer 23 z datą 31 grudnia 1932 r. jest ostatnim numerem kompletu znajdującego się w naszych zbiorach⁶. To dobrze rozwijające się pismo zostało przez władze zawieszona, mimo że w ciągu całorocznego istnienia cenzura bydgoska nie miała zbyt wielu powodów do ingerencji. Sądzę, że odpowiedni nakaz przyszedł do Bydgoszczy od władz wyż-

⁶ Tamże, P. 667,

szych. Dopingowały one pod tym względem lokalną administrację. Przykładem tego są okoliczności zamknięcia lwowskiej „Trybuny Robotniczej” w 1924 r.

Już podczas ukazywania się „Ze świata” Centralna Redakcja zaczęła rozglądać się za dalszymi możliwościami powołania do życia publikacji odmiennych od wydawnictw, jakie poprzednio inspirowaliśmy. Takie czasopisma pozwoliłyby nie tylko rozszerzyć krąg naszego oddziaływania, ale byłyby również mniej narażone na represje. Henrykowski, z którym utrzymywałem więź podczas jego „kadencji” w kierownictwie krajowym, był gorącym zwolennikiem takich czasopism i zachęcał nas do działania. Z czasem skryształizował się pomysł uruchomienia w Warszawie „wielkiego” tygodnika o obliczu demokratycznym, antyfaszystowskim i antywojennym. Miał to być periodyk o szerokim wachlarzu tematycznym, który — wydawany w poniedziałek — w dniu, gdy wszystkie dzienniki ukazywały się w zmniejszonej objętości, trafić by mógł do rąk masowego czytelnika.

Powodzenie takiej imprezy wydawniczej zależało oczywiście w dużym stopniu od jej bezpośredniego kierownika. Powinien był to być rutynowany dziennikarz, nie związany z ruchem komunistycznym, na którego lojalności można było polegać. Nie widziałem jednak odpowiedniej osoby do tego rodzaju przedsięwzięcia. Ze swymi kłopotami podzieliłem się z Leonem Schillerem, z którym od czasu do czasu się spotykałem. Żywiłem nadzieję, że ten znany reżyser i przekonany lewicowiec, posiadający szerokie znajomości wśród inteligencji, pomoże nam znaleźć jakieś rozwiązanie. Po namyśle pan Leon wspomniał o red. Jacku Fröhlingu, który w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości pracował w pismach komunistycznych, a potem przeszedł do pracy w czasopiśmie fachowych. Człowiek niewątpliwie odpowiedni — pomyślałem. Życzliwy pan Leon obiecał doprowadzić do naszego spotkania. Odbyło się ono po jakimś tygodniu w mieszkaniu Schillera przy ul. Jasnej i miało wszelkie cechy towarzyskiej pogawędki przy południowej kawie. Fröhling wysłuchał mnie i zadał kilka pytań dotyczących zakresu jego uprawnień jako ewentualnego redaktora proponowanego tygodnika. Nad swym udziałem w imprezie obiecywał się zastanowić. Nie przypominam już sobie, jak dalej potoczyły się wypadki. Najprawdopodobniej musiałem nagle dokądś wyjechać, czy też czasowo objąć inną funkcję, a równocześnie opuścił Polskę Henrykowski. Gdy po upływie kilku tygodni ponownie znalazłem się w kręgu prac redakcyjnych sprawa uruchomienia takiej „Adeli” przestała już budzić zainteresowanie kierownictwa krajowego.

Problem rozszerzenia wachlarza legalnej prasy lewicowej znajdował się jednak nadal w centrum naszej uwagi. Pod koniec wiosny 1932 r. podczas kolejnej rozmowy ze Sławkiem wyłonił się pomysł wydawania w Krakowie poważnego miesięcznika społeczno-politycznego. Od chwili

zawieszenia „Przeglądu Społecznego” upłynęło już prawie półtora roku — mówił Sławek — zresztą miesięcznik miałby odmienny charakter, inny też byłby jego wygląd zewnętrzny. Propozycja ta spodobała mi się. Po jej uzgodnieniu z kierownictwem otrzymał Sławek polecenie zajęcia się jej realizacją zarówno w Krakowie, jak i w Warszawie, gdzie należało przyciągnąć do współpracy w nowym miesięczniku naszych „legalników” i osoby sympatyzujące z ruchem.

Sławek był bardzo operatywny i oto już w lipcu ukazał się w sprzedaży pierwszy zeszyt „Myśli Społecznej”, tak bowiem ochrzczono nową „Adele”. Zeszyt ten prezentował się wcale dostojnie: 48 stron dużego formatu książkowego, nie licząc okładki zadrukowanej — poza spisem artykułów na pierwszej stronie — tekstem redakcyjnym. Na treść złożyły się m.in. artykuły Kwiatkowskiego (M. Żółtowski: *Wschodzące czy zachodzące słońce*), S. B. i R. J. (Jabłonowski): *Kapitał finansowy na wsi polskiej*), a także — na pierwszym miejscu miesięcznika — przedruk części pracy Lenina o Marksie (zamieszczonej tu pod dawnym pseudonimem: W. Frey). Druk dalszych części kontynuowano w numerach 2—3. Zeszyt 1 zawierał jeszcze recenzje oraz obfitą kronikę zagraniczną i krajową. Wszystkiego ukazały się — w ciągu 8 miesięcy — cztery numery, zeszyt czwarty z datą 1 lutego 1933 r. był numerem ostatnim tego czasopisma. Uległo ono zawieszeniu przez władze ówczesne, dzieląc los wielu innych publikacji lewicowych z lat poprzednich i późniejszych.

Tak krótko wydawana „Myśl Społeczna” zdołała jednak skupić wokół siebie poważne grono współpracowników i coraz szerzej docierała do czytelników. W numerze trzecim za grudzień 1932 r. redakcja pisała: „Otrzymaliśmy list otwarty szeregu pisarzy i intelektualistów krakowskich całkowicie solidaryzujących się z niedawno odbytym kongresem antywojennym w Amsterdamie i przyłączających się do akcji wybranego na tym kongresie komitetu do walki z wojną”. Pod tym listem widniało siedemnaście podpisów, m.in. M. Czuchnowskiego, A. Polewki, L. Kruczkowskiego, W. Skuzy. W tymże numerze można było w odpowiedziach redakcji przeczytać następującą notkę: „J. Kowalczyk. Artykuł zamieszczamy. Prosimy o współpracę”. Chodziło tu o mój artykuł opublikowany w tymże zeszycie pt. *Plany walki z kryzysem* i przesłany tam drogą partyjną, a nie nadesłany do redakcji przez czytelnika, jak to sugerowała notka. W czwartym zeszycie ukazał się jeszcze jeden mój artykuł pt. *Wokół kryzysu*. Obie pozycje poświęcone były różnym aspektom kryzysu gospodarczego w świecie i w Polsce i odzwierciedlały nasze ówczesne poglądy na sytuację gospodarki kapitalistycznej.

Ogłoszone w r. 1973 fragmenty wspomnień nieżyjącego już Jabłonowskiego⁷ zawierają szereg dodatkowych informacji o „Myśli Społecznej”, z którą ściśle współpracował. Píše więc Jabłonowski, jak wciąż

⁷ *Archiwum Ruchu Robotniczego*, Warszawa 1973, t. 1, s. 175—176.

gnięty został do tej pracy przez osoby z nielegalnego aparatu partyjnego, myląc przy tym Centralną Redakcję, która wydawała miesięcznik, z Agitpropem, tylko luźno z nim związanym, jak otrzymywał z aparatu centralnego partii materiały przeznaczone dla czasopisma itd. Wspomnienia te pozwalają rozszyfrować niektóre pseudonimy widniejące pod poszczególnymi pozycjami. Tak więc artykuły pt. *Martwa scholastyka czy wytyczna żywej praktyki* w numerze 3 oraz o Benedykcie Spinozie w numerze 4 pt. *Filozof zwycięskiej burżuazji* — oba podpisane Roman Just — były pióra pedagoga warszawskiego i autora wielu prac filozoficznych S. Rudniańskiego. Dwie pozycje o ubezpieczeniach społecznych w numerach 2 i 4 — podpisane R. Stern — napisał pracownik instytucji ubezpieczeniowych R. Pomerski. Jego rozważania w ostatnim numerze „Myśli Społecznej”, poświęcone projektowi tzw. ustawy scaleniowej, zostały silnie ocenzone i zapewne posłużyły władzom jako jeden z pretekstów zawieszenia czasopisma. Od siebie mogę tu jeszcze dodać, że artykuł omawiający w numerze 2 bieg wydarzeń w Niemczech, a podpisany A. Lewicz, był autorstwa utalentowanego publicysty partyjnego A. Szmulewicza. Ciekawe materiały przynosiły różnorodne kroniki „Myśli Społecznej”, opracowywane częściowo na podstawie kwartalnych sprawozdań gospodarczo-politycznych znanego ekonomisty węgierskiego E. Wargi, zamieszczanych w międzynarodowym przeglądzie „Internationale Presse Korrespondenz”.

Aby móc się jak najdłużej utrzymać na widowni „Myśl Społeczna” poddawała odpowiedniej adiustacji materiały, które przeznaczała do druku lub też całkowicie rezygnowała z wartościowych nawet pozycji. Tak na przykład — jak pisał Jabłonowski⁸ — do Krakowa nie wysłano ze względów cenzuralnych artykułu o inflacji w Polsce prof. S. Czarnowskiego. Kto wie, może to właśnie ta samokontrola przedłużyła nieco żywot „Myśli Społecznej” i umożliwiła wydanie tych czterech numerów⁹.

Jeszcze za czasów ukazywania się miesięcznika krakowskiego, w Łodzi zaczął wychodzić lewicowy dwutygodnik informacyjny „Kronika”, przemianowany następnie na „Kronikę Dwutygodniową”. Łącznie w 1933 r. wyszło 11 numerów tego pisma. Powstało ono niezależnie od naszej redakcji, prawdopodobnie z inicjatywy miejscowych władz partyjnych. Na tym nie urywa się wysiłek partii komunistycznej i całej naszej lewicy społecznej w dziedzinie wydawania legalnych publikacji prasowych, że wymienię tu przykładowo takie oto pozycje: „Dwutygodnik Ilustrowany” (1933—1934), kontynuujący tradycje „Ze świata”, jednolitifrontowe „Oblicze dnia” (1936) i codzienne pismo jednolitifrontowe „Dziennik Popularny” (1936—1937), wileńskie „Po prostu” (1935—

⁸ Tamże.

⁹ CA KC PZPR, P 10560

—1936) czy lwowskie „Sygnały” wychodzące z przerwami aż do połowy sierpnia 1939 r.¹⁰ Wszystkie te pisma wydawane już były bez mojego udziału, toteż nie mieszczą się w ramach wspomnień obejmujących wydawnictwa inspirowane przez centralną redakcję KPP w latach 1929—1933.

Wachlarz lewicowych wydawnictw periodycznych, które ukazywały się w owych latach, byłby niepełny, gdyby się pominęło lewicową prasę ukraińską i białoruską na tzw. Kresach, gdzie działały organizacje autonomiczne KPP — KPZU i KPZB, mające własne komitety centralne i odpowiedni aparat wraz z komórkami redakcyjnymi. Niezależnie od Centralnej Redakcji partyjnej zajmowały się one wydawnictwami w odnośnych językach i w miarę swych możliwości inicjowały na swych terenach zakładanie legalnych pism lewicowych w tych językach. Odmienne przedstawiała się sprawa wydawania literatury lewicowej różnego typu dla potrzeb żydowskiej ludności pracującej. Przy tzw. Centralnym Biurze Żydowskim KPP, a następnie przy Wydziale Żydowskim, czynna była własna komórka redakcyjna. Przez pewien czas, w latach 1929—1930, istniała łączność — raczej natury formalnej — między tą komórką a Centralną Redakcją, którą utrzymywał członek obu tych zespołów redakcyjnych J. Majski. Jemu to zawdzięczam obecnie kilka poniższych informacji. „Wydawaliśmy wtedy — pisze on w odpowiedzi na mój list — prócz »Cum Kampf« (3 numery w ciągu roku) legalny tygodnik, który w tym czasie nazywał się, zdaje się, »Unzer Leb«. Tygodnik składano w Warszawie i drukowano we Lwowie ze względów cenzuralnych [...] W późniejszym okresie wychodziło legalne pismo codzienne »Frajnd« w Warszawie i, zdaje się, tygodnik literacki w Łodzi”.

Inicjatywę w dziedzinie publikacji lewicowych przejawiały często także różne kręgi radykalnej inteligencji polskiej. Również młodzież próbowała wydawać legalne czasopisma i jednodniówki poświęcone palącym sprawom życia młodzieżowego. Odpowiednie kroki podejmowane były samodzielnie przez centralne ogniwa organizacyjne komunistycznego pionu młodzieżowego i zazwyczaj bez udziału Centralnej Redakcji partyjnej. Poza jej zasięgiem znajdowały się też na ogół inicjatywy wydawnicze lewego skrzydła PPS.

Sumaryczny plon inicjatyw prasowych rewolucyjnej lewicy społecznej w latach 1929—1933 jest na pewno większy, niż wynikać może z katalogów bibliotecznych. Niejedno pismo już na początku swojego istnienia ulegało konfiskacie „na pniu”, zanim udało się rozpowszechnić pewną ilość egzemplarzy. Nie wszystkie lewicowe wydawnictwa mogły

¹⁰ Por., *Polska prasa rewolucyjna 1918—1939. Katalog*, opracowała M. Krych, Warszawa 1965.

więc znaleźć się w zbiorach, z upływem czasu znikają także ze świadomości ludzkiej realia związane z działalnością prasowo-wydawniczą komunistów polskich w latach Drugiej Rzeczypospolitej. Z myślą o tym spisałem właśnie powyższe wspomnienia w nadziei, że pomogą one bardziej uplastyczyć ową działalność i zachować ją w pamięci żyjących pokoleń.